Nr. 1. Rok 14.

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 2. Stycznia 1847.



Tadeusz Rejtan.

Tadeusz Rejtan.

Chociaż słowo z serca pochodzące, zwłaszcza jeżeli jest w sam czas wyrzeczone, porywa, skutek jego jest jednak słaby w porównaniu z wpływem, który czyn wywiera. Przykład osób, które wśród nas żyją, jest najlepszym przewodnikiem na drodze cnoty i ślachetności. Nie masz człowieka tak nieczułego, którybyby nie miał doznać żadnego wzruszenia, gdy widzi osobę pełną poświęcenia, która chętnie rozbrat czyni z wszelkiemi przyjemnościami świata, byleby dopomogła cierpiącéj ludzkości. Dla tego żywoty znakomitych mężów nie stracą nigdy powabu; serce ludzkie, zbyt skłonne do ślachetności, czuje rozkosz, gdy przebiega czyny, które zmierzały ku dobru ojczyzny lub całéj ludzkości. Polska jest dosyć bogatą w prawych synów, którzy dla jéj dobra życie i dostatki poświęcali. Pomiędzy nimi niepoślednie miejsce zajmuje Tadeusz Rejtan, którego po wszystkie czasy za przykład miłości ojczyzny i odwagi obywatelskiéj przytoczyć można.

Rejtan urodził się w Struszowie, w województwie Nowogrodzkiém. Ukończywszy nauki u księży Pijarów w Warszawie, wszedł w służbę wojskową do chorągwi buławy wielkiéj Litewskiéj. W czasie konfederacyi Barskiéj, znajdując się u wuja swego, arcybiskupa Ruskiego, w województwie Kijowskiém; zebrawszy poczet Kozaków Ukraińskich, na czele ich partyzancką wojnę przeciw Rossyanom prowadził. W końcu przyciśniony od sił przewyższających, schronić się musiał do Wołoszczyzny. Usłyszawszy o wydanych uniwersałach na sejm, który miał zabór Polskich krajów potwierdzić, pospieszył do Nowogrodka, i tam jednomyślnie posłem był obrany. Na pierwszéj zaraz sessyi sejmowéj 1773 r., kiedy Adam Poniński, już dawno zyskany od mocarstw ościennych, przywłaszczył sobie laskę marszałkowską przeciw wszystkim prawom istniejącym; mężnie mu się oparł Rejtan, wsparty od kilku posłów, najwięcéj Litwinów, mianowicie Samuela Korsaka i Stanisława Bohuszewicza. Większość jednak sejmujących, mimo że podziwiali i uwielbiali Rejtana, a nawet jako świadkowie głośno ich do wytrwania zachęcali; zastraszeni pogróżkami posłów zagranicznych, w nieczynném odrętwieniu została. Utrzymał się przy marszałkowstwie Poniński, zwłaszcza gdy sam król Stanisław August, znękany naleganiem trzech dworów sprzymierzonych, przechylił się nie tylko na oddanie laski Ponińskiemu, ale co gorsza, na sejm konfederacyjny, to jest niedopuszczający żadnego zerwania. Przeciwił się i protestował przeciw temu wszystkiemu Rejtan, przewidujący nieszczęsne skutki tych postanowień. Na pozbycie się jego, Poniński i posłowie zagraniczni chcieli najprzód użyć postrachu, rozgłaszając, że spiknęło się kilku posłów na jego życie. Sprobowali później przekupić go pieniędzmi. Ofiarował mu zatém Poniński dwa tysiące dukatów, byleby się oddalił od zgromadzenia sejmowego. Odpowiedział mu Rejtan: Przywiozłem tu z sobą pięćtysięcy dukatów, i te ci oddaję, bylebyś się zrzekł frymarków i zdrady ojczyzny. Przytomny téj rozmowie i uderzony wzniosłością umysłu Rejtana, jenerał pruski Lentulus, odezwał się do niego w te słowa: *Gratulor tibi generose vir, optime rem tuam egisti.* (Wielbię cię, mężu szanowny! dzielnie sprawę twoję popierasz.)

Po dokonaniu dzieła przemocy, uchylił się Rejtan od obrad sejmowych. Odtąd rozpacz zatruła dni jego. Nakoniec dzień, w którym się o nadchodzącym już podziale kraju dowiedział, był dla niego ostatni. Dusza jego nie mogła już znieść tego ostatniego ciosu. Ogarnęło go okropne pomięszanie zmysłów. Odwieźli go krewni do Litwy, i w oddzielném mieszkaniu osadzić musieli. Już Rejtan nie poznawał nikogo, nie cierpiał żadnego odzienia, nie przyjmował pokarmu jak oknem; a gdy raz, przez nieostrożność służącego, podano mu szklankę z napojem; porwał ją, stłukł, i ostrzem szkła gardło sobie przerznął. Umarł w Sierpniu roku 1780. Pochowany w kościele Lachowickim, w dzisiejszym powiecie Słuckim.

Nowy rok.

Szczęśliwy, kto życie swoje tak urządził, iż w chwili obecnéj na przeszłość z radością spogląda, a przyszłości się nie obawia. Stokroć w ten czas szczęśliwy, bo śmiało wyrzec może to, co do człowieka należy, iż sam swego szczęścia twórcą. Kto pracuje tak, jak powinien; kto z radością pełni swoje obowiązki; kto starając się o dobro ciała, duszę nie mniéj

pielęgnuje: ten nad sobą nie zapłacze, prędzéj w chwilach samotnych łezkę szczęścia uroni, którą mu serce zadowolone wytłoczy. Szczęście więc od nas zależy, my sami na nie zapracować powinniśmy i dla tego, jeżeli nas mija, przeglądajmy ściśle nasze postępowanie, a zapewne znajdziemy, żeśmy sami zawinili. Lecz mimo to nikt nie zaprzeczy, że często, pomimo największéj usilności, do szczęścia dojść nie możemy; często się zdarza, iż nasze zabiegi na takie napotykają przeszkody, którym uledz muszą. Jest więc w świecie potęga, z którą się codziennie ścierać mamy; nią jest los. On to zawiera tysiączne okoliczności, które nam od kolebki towarzyszą i szczęściu naszemu albo dopomagają, albo co chwilę przeszkadzają. Ciężarem losu przyciśnięci, musimy jęczeć w niedoli, tysiączne znosić przykrości, pożegnać się wreście z całém szczęściem światowém; lecz jakkolwiek przeciw jego przemocy nic albo mało co zdziałać możemy, pozostaje nam jeszcze jedyna, ale pewna ucieczka, która nam w każdéj przygodzie zaspokojenie zgotuje. Nią jest *wiara w Opatrzność*, połączona z tém przekonaniem, żeśmy wszystko uczynili, co do nas należy. Dla tego chociaż nas srogość losu prześladuje, chociaż tysiączne przeciwności nas chłoszczą, tak, iż pod ich razami dusza nasza prawie upadać zaczyna; nie rozpaczajmy, nie powątpiewajmy, że i nam kiedyś słońce szczęścia zaświeci. Bóg nad nami czuwa, Opatrzność i nad nami swe skrzydła roztacza; nie zginiemy więc wśród licznych niepowodzeń, fale przeciw nam wzburzone nie rozbiją nas o ostrze skał; przyjdą nareszcie czasy swobody, a promień szczęścia serca nasze rozgrzeje. Lecz *pracować* trzeba; bo tylko *praca* prawdziwe szczęście zgotować może. Dla tego dzień i noc czuwajmy nad sobą, wyszukujmy nasze wady, wytępiajmy je potem, a cnoty nasze dojdą do téj mocy, iż przeciwności im czołem bić będą. W przeszłym roku zapewne wielu z nas nie zadało sobie téj pracy; może zabiegi o szczęście materyalne wzięły górę. Nie ganiłbym tego, bo życie nasze tak ściśle jest połączone z dobrami doczesnemi, iż ich brak tysiącznie nam dokuczyć może; lecz na nieszczęście, kto się za niemi ubiega, zapomina zbyt często o najpiękniejszéj części swojéj istoty, o duszy, w któréj się samo bóstwo odbija. Zbyt często przedstawia on obraz, który wieszcz nasz tak silnie odmalował:

Patrz, jak nad jéj wody trupie,
Wzbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie stérem, żeglarzem, okrętem;
Goniąc za żywiołkami drobniejszego płazu,
To się wzbija, to w głąb wali:
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali;
A wtém jak bańka prysnął o szmat głazu:
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby:
To samoluby!

Lecz tak podłych dusz, któreby tylko o sobie myślały, jest mało, a jeszcze mniéj w naszym narodzie. Poszczycić się możemy, że cechą naszą jest ślachetność, jeden dba razem o dobro drugiego. Ale mamy tę słabość, iż łatwo do wygód przywykamy, i dla tego, nie chcąc sobie małéj przyjemności odmówić, opóźniamy się w spełnianiu ważnych powinności. Obiadek, imieniny lub wreście spotkanie się z osobą, z którą chętnie się bawimy, są często dostatecznym powodem, abyśmy nie stanęli tam, gdzie się toczyć będzie znaczna sprawa. Tego rodzaju samolubstwo zasiadło od dawna na ziemi Polskiéj i nie masz prawie śladów, aby zmniejszało. Dla tego rodzice chowają dzieci miękko, do tysiącznych wygód je przyzwyczajając; bo większa część tak pojmuje szczęście, iż ono polega na dogadzaniu życzeniom zwykle materyalnym. Dla tego mamy mniéj więcéj wszyscy skłonność do zbytków. Dla tego wreście powszechną jest u nas słabość, iż przy najlepszych chęciach nic nie wykonywamy; bo nam braknie hart duszy, braknie wytrwałość, cnoty, które są wszędzie potrzebne, gdzie najmniejsze zachodzi poświęcenie.

Jeżeli więc liczne nieszczęścia wzbudzają w nas życzenia, aby *Nowy rok* był dla nas lepszym, aby zeszła w nim jutrzenka, któraby nam błogie czasy zwiastowała; *pracujmy*, a *pracujmy tak*, iżby się polepszał porówno nasz stan moralny jak materyalny. Niechaj życie familijne będzie ogniskiem cnót domowych, aby dziecko, pod okiem rodziców wychowane, miało to przeczucie, że tylko godność moralna stanowi wartość człowieka. W ten czas przy pomocy szkoły dojdzie do tego przekonania, iż wszystkie kroki człowieka powinny być oznaczone dążnością, aby się do dobra ludzkości przyczyniały. W ten czas zapali się miłością ślachetnych czynów, które najpiękniejsze wydadzą owoce, gdy dojdzie do dojrzałości. Lecz

nie dosyć na tém, nasze życie towarzyskie powinno przybrać ten kształt, iżby podstawą było życia politycznego. Gdzie między dojrzałymi mężami zamieszka prawość, zaufanie, szacunek i miłość, tam z pewnością będą dobrzy obywatele, tam interes prywatny nie weźmie przewagi nad dobrem ogółu, tam stanie tysiąc za jednego.

Do takiego życia dążyć powinniśmy, a ujrzymy je wśród siebie, jeżeli przy szczeréj chęci pilnie przestrzegać będziemy wszystkiego, co do jego ustalenia przyczynić się może. Kto więc ma siły po temu, niechaj zwraca uwagę drugich na to, co czynić powinni, lub użycza im pomocy innéj, jeżeli jéj potrzebują.

Wszelkie pisma peryodyczne do tego zmierzać powinny; lecz jeżeli każde ma ten obowiązek, Przyjaciel Ludu ma go tém bardziéj. Cóż bowiem znaczy jego miano? Wszakże ma być jako przyjaciel razem doradzcą ludu. Przez lud zaś, jakeśmy w kilku numerach z przeszłego roku pokazali, nie rozumiemy ani motłochu, ani pospólstwa; lecz bierzemy wyraz ten w jego ślachetném znaczeniu, jak go najczęściéj używamy, chcąc oznaczyć całą massę narodu. Jeżeli tak pojmujemy Przyjaciela Ludu, jako doradzcę i przewodnika ludu Polskiego; wywiązał się zapewne nader mało z swego długu. Dla tego i z nim łączy się to życzenie przy Nowym roku, aby idąc za ogólnemi potrzebami swego ludu, mieścił w sobie takie rzeczy, któreby całą massę narodu Polskiego oświecały i na dobrą drogę naprowadzały. Lecz życzenie jego może się tylko w ten sposób urzeczywistnić, jeżeli wszyscy, co pojmują jego zadanie, przyjdą mu w pomoc, aby głosząc myśli oświeceńszych rodaków, wywierał ten zbawienny wpływ, którego tak bardzo lud Polski potrzebuje. Dotąd znalazł nader mało współpracowników. Oby rok 1847 zaczął w jego życiu nowy okres!

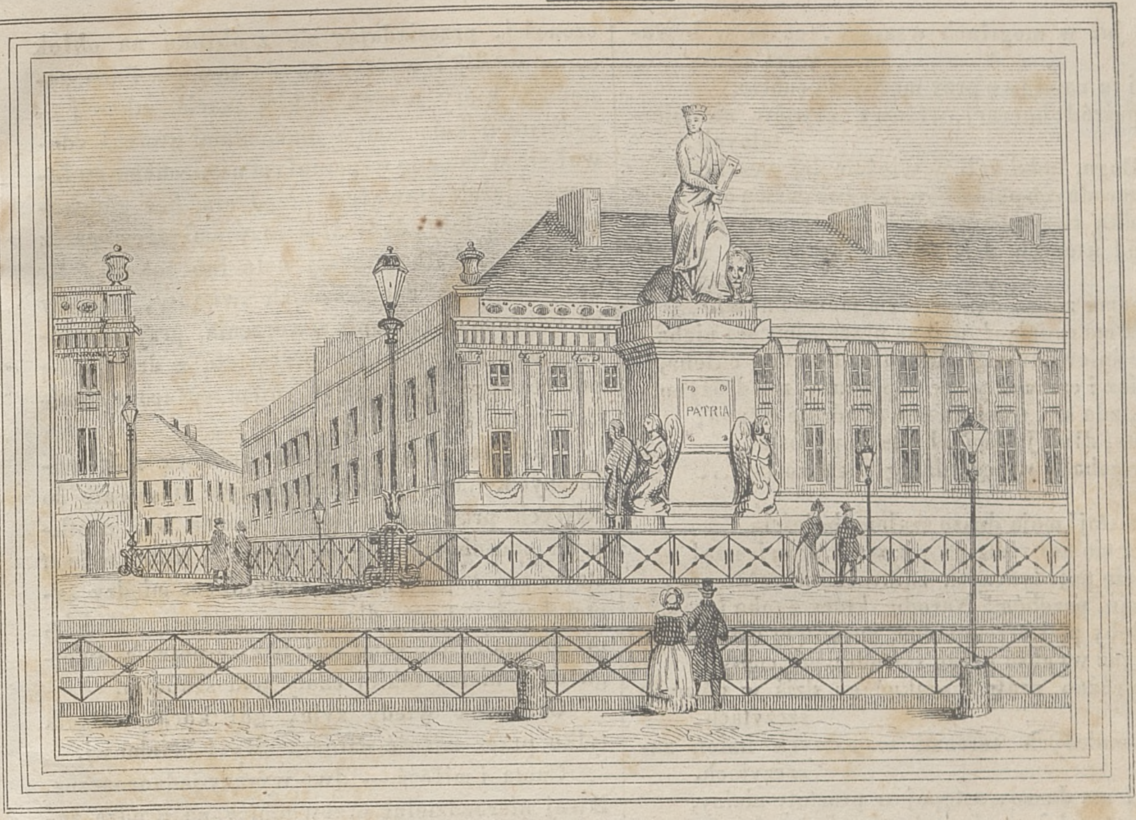
Plac Męczenników w Bruxelli.

Podróżny, przeniesiony koleją żelazną z cichych miast Niemieckich, dziwi się ruchowi ulic i placów Bruxelskich; mianowicie w dzień pogodny trudno się prawie przecisnąć przez to mnóstwo postrojonych kobiet i nieustanny przejazd wizytantek, które co godzina prawie zwożą i odwożą licznych podróżnych na dwie stacyje kolei żelazne. Dla tego téż dziwne sprawia na cudzoziemców wrażenie, jeżeli zaszedłszy na jeden z najładniejszych placów Bruxelli, razem ujrzy się otoczony głuchą ciszą i jakiméś religijnym spokojem. To miejsce, znajdujące się prawie w samym środku miasta, obok placu mennicy, najruchliwszego i najbardziéj zgiełkliwego, jest placem Męczenników. Z czterech stron otaczają go piękne, symetrycznie zbudowane domy, wyglądające prawie na pałacyki; cała zaś przestrzeń zasadzona jest pięknemi krzewy i kwiatami, w samym środku wznosi się monument: jest to na wysokiéj podstawie posąg wolności z białego marmuru, dłuta pana Geefs. Połową podstawy chowa się w głębi; albowiem dokoła monumentu znajdują się w ziemi wymurowane cztery rzędy sarkofagów z napisami imion i nazwisk poległych w dniach Wrześniowych 1830 roku. Kto chce czytać napisy, schodzi w głąb po kamiennych schódkach; zawsze tam obecny inwalid oprowadza i tłumaczy. Ten rodzaj katakomb tegoczesnych religijne wzbudza wzruszenie, i można oddać sprawiedliwość Belgom, że godnie umieli uczcić pamięć ślachetnych swoich synów.

Skarga Wieszcza.

Czuły, Karpiński! obym miał twe pióro tkliwe,
Którém niegdyś kreśliłeś swe skargi rzewliwe,
Gdy, zawiedzion na ludziach, z próżnéj życia drogi
Wracałeś z krwawém sercem w swój domek ubogi;
Obym, gdy równe z tobą dzielę dziś cierpienie,
Jak ty, przynajmniéj w pieśni znaleźć mógł ulżenie!

Gdym po raz pierwszy, z sercem nazbyt rzewném może,
Z zaciszy ojców w życia groźne bieżał morze,
Jedną opatrzon Prawdy miłością i Cnoty,
Których tarcz strzedz mnie miała wśród burzy i słoty;
Wszakże i mnie mówiono: „Kędykolwiek będziesz,
„Poczciwość cię ocali, z nią szczęście posiędziesz.“
Ubogim byłem, ale w szczerym pracy znoju,
Dokupić się poczciwych marzyłem pokoju,
Co, na skromném przy cnocie oparty życzeniu,
Miejscaby nie dał czarnych trosek udręczeniu.
Cóżem winien, że z duszą do pieśni zrodzony,
Chciałem żywot marzeniem przewieść ubarwiony,
I ponad ziemskich pragnień, krzątań tęskną pleśnią



Plac Męczenników w Bruxelli.

Swobodną ludziom służyć pocieszenia pieśnią;
Przy któréj życie rączym perli się potokiem,
Bez któréj wszystko smutku obleka się mrokiem.

Bóg każdemu żywota nakreśla granice,
Lecz i myśl drogi w serca zaszczepia krynicę;
Którą pójść winien — jeśli, wyrwan z téj kolei,
W dzikich nie chce bezdrożach ginąć bez nadziei.
Lecz któryż z ludzi wolną od uprzedzeń głową,
Myśl Wszechmocnego w drugim uwzględnił surową!
Każdy podług widzeń, swojéj mętnéj chęci,
Tajemne jéj znaczenie przekształca i kręci;
Ten jeden u nich zapęd zgodnością popłaca,
Co mózg w wybiegi dzielny złotem ubogaca.
Kto ku temu celowi duszy swéj nie zegnie,
Wśród najświętszych zamiarów w niedoli polegnie:
Oprócz trudów o pieniądz wszystko w świecie fraszką,
Zapały ducha płonną dziś ludziom igraszką.

O jakże gorzko wyznać tę prawdę przychodzi,
Rozbitemu w obłudnych obłowów powodzi,
Która mi w pierwszéj życia mego wiośnie, cała,
Zawodem samych szczytnych wysileń jaśniała!...
Gdzież się podziały moje ułudne marzenia,
Zasłużonego kiedyś wśród ludzi uczczenia,
Gdy głębiéj czując radość, smutek mojéj ziemi,
Będę im dusz tłumaczem słowy natchnionemi,
Czyli to siejąc kwiatem z ich serca dobytym,
Czy téż cierpiąc za wszystkich z okiem w niebo wrytém....

Cóżem zyskał, strawiwszy ducha ich cierpieniem
I klęski ich obmywszy swoich łez strumieniem?
Oto dziś porzucony, prawie zapomniany,
Jako żebrak przy drodze swéj nędzy oddany,
Z stéranem ciałem, z zwiędłym prawie ducha kwiatem,
Stoję biedny nad martwym moich marzeń światem,
Tyle nie dosłużywszy się w niewdzięcznym rodzie,
Bym przy starganych siłach nie został o głodzie!...
Tom zyskał, że gdy pierś ma krwawi się namiętnie,
Dumny mnie Pan stu włości mija obojętnie,
Lub z uśmiechem szyderczym i słówkiem cedzoném,
Wsparcia szukać odprawia pod niebem przestroném....

O! chodźcie żono i ty rodzino ma drobna!
Nie nasza to już ziemia, niegdyś w chwałę zdobna.

Śpią już w mogiłach wszyscy, co ją w krwawym pocie
Orali tu na sławę przy męstwie i cnocie,
I wpośród hucznéj wrzawy czynów nieśmiertelnych,
Dla Boga, ludzi żyli w wiośnie dni weselnych.
Od wyrodnych potomków Bóg twarz swą odwrócił
I wielką ziemię w gniewie gruzami zarzucił,
Wśród których dziś się karłów wątłe plemie mrowi,
Niecnemu zaprzedane sercem mammonowi.
Chodź ma rodzino! w inne przenieśmy się nieba,
Gdzie śpiewakowi jeszcze nie odmówią chleba,
Chociaż i czci uskąpią. Spieszmy, ma drożyno,
Bo tu, zda się, trucizną nawet zdroje płyną;
By tutaj dłużéj gościć, by tutaj pozostać,
O potrzebaby więcéj niżli głazem zostać....

Ale stoj! moja duszo szalona boleścią,
Kędyż cię żal zaślepia rozpaczą niewieścią!
Jeśli cię pojedyńczych znikczemnienie dręczy,
Nie wiń, przebóg! Narodu, który z tobą jęczy.
Miałżeby pod brzemieniem duchowéj ciemnoty,
I tam już wygaść ogień starodawnéj cnoty,
Gdy próżno prawie szukać go dziś w górnych szczytach,
W pomalałych sercami w czczych imion zaszczytach.
O nie! ma duszo, zstępuj w prostoty niziny,
Po dworcach i po chatach poszukaj gościny;
A szczerość i poczciwość w prawdzie nie udanéj
Poda dłoń jeszcze biednym, zbliźni krwawe rany,
I na nowo przywiąże do téj matki ziemi,
Co nas mlekiem i łzami wykarmiła swémi.
A choćby i tam w końcu przyszło domrzeć głodu,
Lepiéj cierpieć, niż swego być zmiennikiem rodu.

D. 17. Lipca 1846 r.

Wspomnienia i myśli humorystyczne niepraktycznego poety, zebrane po gościńcach praktycznego życia.

Po śliskiéj spadzistości życia jakżeż gwałtownie pędzimy! gdyby człowiek od czasu do czasu siłą woli i ducha nie tworzył sobie spoczynków, przeleciałby jak wóz parowy po kolei żelaznéj, jak ptak powietrzem, nie zostawując najmniejszego śladu po sobie.

Cóż są te spoczynki? te ślady naszego przechodu, jeśli nie wspomnienia czarowne poetycznéj młodości?

Ileż to razy, rozbujawszy skrzydła samowolnéj wyobraźni, pędziłem w przestwór nieskończoności, przesiadając się z obłoku na obłok coraz wyżéj i wyżéj, aż do samego Pana zastępów, który w niebiańskiéj szacie, utkanéj ogoniastémi kometami i diamentami gwiazd zdawał się witać mię wspaniałym uśmiechem, zwłaszcza, jeżeli stawałem przed nim bez gotowego hymnu lub ody! Ileż razy śmigałem przez powietrze, kulbaczywszy orła lub sokoła, by drugi Kolumb nadziemskich światów, goniący za odkryciem tajemnic stworzenia, przyrzekający pierwszéj kochance przywieść z drogi jaką poetyczną gwiazdeczkę! O nieprzepłacone chwile marzeń i szału! —....

Cóż jest miłość? jeśli nie królową cnót społecznych. Można być cnotliwym stósownie do ścisłych prawideł teologii; można być cnotliwym odosobniając się od świata i ludzi, to jest, stając się najtwardszym samolubem między samolubami. Lecz dla cnoty zwanéj miłością, nie można zostać samemu; bez zespolenia dwojga dusz niema takiéj cnoty pod słońcem.

Człowiek wtedy żyje, gdy kocha. Cnota tylko przez miłość nabiera siły i dzielności.

Cnota i miłość — dwa wyrazy jednoznaczne. Dwaj nierozdzielni przewodnicy na drodze żywota. Niech cię jeden opuści, drugi w trop za nim pobieży, zostawując cię osamotnionego w pustyni świata, gdzie prócz piasków, wichrów i napowietrznych złudzeń nic twoje oko nie dojrzy......

. . . .

. . . . Człowiek rozumny, o tyle bywa rozumnym, o ile przyznaje się do swoich głupstw i błędów. Głupi niczemu innemu winien swój przydomek, tylko, że chciałby za mądrego uchodzić. Ludzie zawsze mię uważali za głowę przewróconą, za marzyciela, szaleńca, niepraktyczną istotę; ponieważ robiłem wszystko bez rachuby, na los, po szalonemu. Otóż i gruntowny powód! A im się zdaje, że tacy rozumni! Och głupcy! głupcy! Pomówili mię o zatwardziałość i okrucieństwo, żem nie umiał pochlebiać, ani płakać. Pochlebiać tym, których opinia co dzień wynosiła i strącała ze sceny; płakać nad nieszczęściem koniecznem, kiedym cierpiał męki milionowéj niedoli. Odepchnęli mię jako dziecię wyrodne; a jam wziął się nie do łez, lecz do pieśni i śpiewałem... O już tą razą poczytali mię za niewyléczonego szaleńca......

. . . .

. . . . . Bóg stworzył niebo i ziemię. — Tak mi nauczyciel wykładał słowa Genezy. Cóż Bóg robił przed stworzeniem świata? zagadłem. Za całą odpowiedź kazał mi rękę nastawić i wyciął liniją. Późniéj często zadawałem to pytanie uczonym, a oni mię za głupca mieli; do dziś nie mogąc się doczekać odpowiedzi, nie wiem co Bóg przed stworzeniem świata robił.

W szóstym roku dowiedziałem się, że Bóg stworzył słońce we środę; i nigdy nie mógłem pojąć, jak się poniedziałek i wtorek obchodził bez słońca. Za to pytanie nie jadłem niegdyś obiadu, siedząc cały dzień pod kluczem. To samo pytanie zadałem raz memu staremu słudze. Oniemiał, zamyślił się, i zapewne umarł z tą myślą. Zapewne rozwiązanie znalazł na tamtym świecie.....

. . . .

. . . . Wyleciałem w świat, jak ptaszek wypuszczony z klatki. Pierwsze chwile wolności powitały mię, podobne falom morskim, bijącym o brzeg skalisty. Życie snuło się wtedy nie jak nić pajęcza, ale jak potok lawy. Lawa roztopiła mię i porwała z sobą.... mnie, przyjaciela gwiazd i nocy słowiczych; zimą, książkowego mola; trzeba mię było widzieć w tym wirze! Zdawało się, że wszystkie śrubki, kółka zębate i walce odczyszczono i nasmarowano oliwą w mojéj machinie, tak się obracała niezmordowanie.... Cóż to za szczęśliwe życie człowieka — machiny! Szczęśliwe — bo nie zdajesz sobie rachunku z kroków twoich, z twéj woli... bo w najbliższy stósunek wchodzisz z nieśmiertelném *fatum*....

O *Fata! Fata!* wyście sprawiły, żem znowu wrócił do marzeń majowych i zimowych rozmyślań, choć mi zaprawdę wszędzie było duszno i ciasno....

.....Nigdzie dla poety ciaśniéj, jak w mieście! Uciekałem téż do wiejskiego gniazdka jak młody utracyusz co część grosza przepuścił na fraszki, a resztą zgrał się w diabełka, i nie mając o czém wyjechać, puszcza się na własnych nogach, marząc o barszczu i kaszy, jak o marcypanach....

Była to wioska czarowna... nie wielkie lesiste wzgórze po jednéj stronie, po drugiéj, ciemne lasy ginące w oddali błękitnawemi pasami — w koło łąki pełne dzikiego ptastwa — kawałek wody — i sad owocowy, cienisty, gęsty, bez chodników porobionych sztuką, gdyż do najlepszych grusz i jabłoni wszędy miałeś wydeptane ścieżki..... Tam mi się ukazała po raz pierwszy panna Klara.....

Biedna Klara! Nie tylko że niepowabna, ale jaka cnotliwa! O złośliwy języku! Tylem doznał przez nią szczęścia, tyle nieocenionych roskoszy, i jeszcze złośliwym przycinkiem odpłacam.... Tém więcéj ją kocham po zadaniu téj rany. Złośliwy dowcip to ma wspólnego z żądłem pszczoły, że rozbraja tego, który go wypuszcza......

. . . .

. . . . . . Klaro zapytujesz mię twém dużém okiem, czy już kochałem kiedy? — Przecież nic innego nie robiłem w życiu, tylko to jedno. Dopiero poczułem, że żyję, gdym pierwszy raz poczuł, że kocham. A pierwsza miłość moja zaczyna się od dnia urodzenia. — Pytasz znowu rzewnym uśmiéchem, czy ciebie kocham? — Mamże wziąć niebo na świadka? — Niebo zmienia swą postać co chwila. — Posłuchaj mię! mojém zdaniem, ani mężczyzni, ani kobiety, nie umieli jeszcze być szczérymi w miłości. Mężczyzni, zamiast kochać miłość kobiéty, najwięcéj jeżli kochają kobiétę... albo jéj posag... kobiéty kochają, aby męża dostać, lub wolność zyskać; co dla nich zwykle na jedno wychodzi.

...Klaro! nigdy nie możesz być moją, podług praw światowych, bo cię kocham. — Miłość przestała być aniołem o tęczowych skrzydłach, który wzbijając się do gwiazd, osłaniał się wstydliwie białemi obłoczki, z obawy, by go nie odkryła ciekawa jutrzenka, upatrująca go ognistémi oczyma. Dzisiejszy świat przystrzygł skrzydełka miłości, że już wygląda jak gąsienica. Miłość za naszych czasów nie lata, nie chodzi, nie igra, nie marzy, nie myśli. — Miłość się żeni.

— Ach Klaro! poco te pytania. Czyliż człowiek jest w stanie kochać wiecznie. Tylko zarozumiały półgłówek może się z czémsić podobném odezwać, a panna Świętochna uwierzyć. — Patrz! oko moje jasne i przejrzyste. Widzę twój anielski uśmiech, co cię tak uroczą czyni. Jest to niebiańska dusza, siadająca czasem na ustach. Ucho moje przenika twój głos dźwięczny, obudzając w głębi przypomnienie gdzieś z innego świata.... Cóż powiesz na to: może jutro to oko mgłą zajdzie i u-

śmiechu twego nigdy nie ujrzy; jutro słuch stracę, i nigdy słodkiéj nie usłyszę mowy!

— Cóż to wszystko dowodzi?

— Dowodzi, że jutro mogę cię przestać kochać. Człowiek nigdy nie może powiedzieć, będę widzieć, słyszéć, kochać wiecznie. Nie płacz Klaro! dla Boga, gdy cię przestanę kochać, uwiadomię cię kwadransem wprzódy.

....Przyznaj, żeś najszczęśliwszą z kobiet na kuli ziemskiéj. Będąc szpetną, kochasz i jesteś kochaną. Jest to ostateczna granica szczęścia. Gdybyś piękną była, poniosłabyś tylko stratę. Szpetną będąc, zyskujesz; bo im więcéj cię kto poznaje, tém więcéj kocha. Światło dla tego piękne, że odbija od cieniu. Dusza twoja jak światło promiennéj piękności, rozléwające się na cień twego ciała. Godną jesteś uwielbienia poety. Poeta śpiéwa na cześć pięknych kobiet, lecz szpetne tylko kocha, z nich wydobywa ogniste myśli, jak górnik diamenty z ciemnych wnętrzności ziemi. Poeta w tém podobny Bogu, że kocha, co sam stworzył. Piękna kobiéta jest dziełem skończoném; szpetna potrzebuje być stworzoną na nowo pod czarodziejskiém tchnieniem poety. Klaro! błogosław Panu, który cię taką stworzył, jak jesteś, a poecie, że cię ukochał!

. . . .

. . . . . Przypominasz sobie częste zrządzenie twojego dziadunia, gdym wstępował z nim w rozprawy o wypadkach politycznych i odmianach spółecznych; łajał mi, co się wlazło: że w niczém nie znam ani środka, ani miary — cóżby mógł był powiedzieć o naszych pogadankach w obliczu księżyca i gwiazd? A twojaż kuzynka nie żartowała ze mnie, że kiedy tańczę, nie zachowuję taktu; kiedy śpiewam, miary? — Taktu, miary, w uczuciach? gdybym się tysiąc lat uczył, wątpię, czylibym co skorzystał. Miara w uczuciu, w uniesieniu? — tego nigdy nie rozumiem. Że tam kompozytor pokładzie kréski i przecinki na papierze pobazgranym nutami ku wielkiéj radości czterech dudków, reprezentowanych przez skrzypce, basetlę, flet i trąbę, temu się nie dziwię; lecz uczucia mierzyć, nakazać człowiekowi miotanemu silną namiętnością: oto jest granica zapału, którą nie można w brew przyzwoitości przekroczyć; albo: tę nutę wyciągniesz przez sekundę, a tę dwie sekundy — jedno jest, co wiersze oceniać podług ich długości, a kobietę podług wagi....

(Dokończenie nastąpi.)

Nowiny literackie.

W ostatnich czasach wyszły następujące dzieła:

W Lesznie:

Mała Encyklopedya Polska przez S. P. (Platera), w 2. tomach. O pracy téj wkrótce obszerniéj pomówimy.

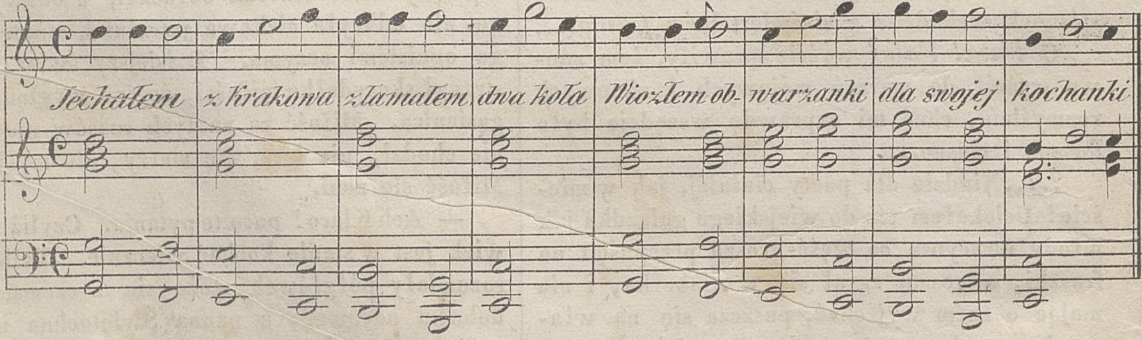
W Lipsku:

Kirgiz, powieść przez Gustawa Zielińskiego, z pięciu litografiami i drzeworytami rysunku Hr. Alex. R... Wydanie nowe Bobrowicza, bardzo ozdobne.

W Warszawie:

1. Poezye Wiktora Dłużniewskiego.
2. Przypomnienia pasterskie.

№ 177 KRAKOWIAK *od Maciejowic*



Text do *Nru.* 177.

Jechałem z Krakowa, złamałem dwa koła,
Wiozłem obwarzanki, dla swojéj kochanki.

Obwarzanki zjadła i mnie porzuciła,
Bodajby się była niemi udawiła.

Kupię obwarzanków i pójdę za Wisłę,
Dopomóż mi Boże, do któréj ja myślę.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)